Numer wstępny.



Cena prenumeraty
kwartalnie w miejscu 15 sbr., na prowincyi 18 sbr. 9 fen., w Krakowie i Lwowie 1 złtr. 20 c., w Galicji i w innych krajach austryackich 1 złr. 40 c.

Poznań, 15. Grudnia 1870.

Redakcja
przy ulicy Berlińskiéj Nr. 14.
Ajencje:
Lwów: Milikowski, Gabrynowicz & Co.
Kraków: Friedlein, Józef Czech.

Od Redakcji.

Przy rozpoczęciu pierwszego numeru wypełniamy przyjemny obowiązek podziękowania zasłużonym pisarzom, którzy na przednówku pomocną rękę naszéj pracy podali, a więc: Pani Paulinie z L. Wilkońskiéj, pp. Dr. K. Libeltowi, K. Wł. Wójcickiemu, Władysławowi Sabowskiemu, Dr. Łukaszewskiemu, i pełnym talentu i bezinteresowności artystom Waleremu Eljaszowi i Michałowi Hertzowi.

Mieszkania nawodne przedhistoryczne.

przez

Dr. K. Libelta.

a) Kurhany kuchenne. b) Torfiska duńskie.

Jak po liczbie pierścieni piennych poznajemy wiek drzewa, tak po warsztwach pokładowych powierzchni ziemi naszéj odgadujemy długość dotychczasowego żywota planety naszego, odkąd zewnętrzne jego formacye dały możność rozwijania się wegetacji roślinnéj, a następnie i organicznego żywota zwierząt i ludzi. A wiek ten wedle badania geologów i geognostów sięga nieskończenie daléj w starożytność, niżeli to nam księgi Mojżeszowe opowiadają.

Najściśléj z temi badaniami połączone są dzieje ludzkie, niezawodnie późniejsze, niżeli dzieje zapadłych organizmów roślinnych i zwierzęcych, których ślady odkrywamy w warsztwach podziemnych, ale sięgające daleko daléj, niż 6000 lat, które liczymy od stworzenia świata i pierwszych rodziców Adama i Ewy.

Nie mamy na to historycznych dowodów, bo ani pisma ani tradycje nie przechowały nam śladów, czy i jakie było życie przedhistorycznych ludności. A nawet, kiedy już się dzieje ludzkie rozwijały w Indyach, w Egipcie i w nadbrzeżach środziemnego morza, była głucha cisza o tém wszystkiem, co się działo w innych stronach nieznajomego i nieodkrytego świata. Zalegała tu jeszcze ćma i barbarzyństwo, kiedy ówdzie kultura już jaśniała handlem, bogactwy i wynalazkami, któremi stroiło się ukształcone już życie mieszkańców przemyślnych i handlowych.

Wszakże z tego, co po ludziach, jacy po różnych okolicach ziemi rozszerzeni żyli, pozostało i przechowało się, już w zwaliskach naturalnéj albo politycznéj rewolucyi, już w zaspach napływowéj ziemi, która opuszczone siedliska zagarnęła, — wnosić można z zupełną pewnością nietylko, jaki był poniekąd stan kultury tych ludzi, ale w przybliżeniu odgadnąć można i wiek, w którym oni żyli.

Badacze starożytności trzy przyjmują perjody kultury ludzkiéj; jakie po sobie następowały już w dłuższym, już w krótszym przeciągu czasu: perjod kultury kamiennéj, w którym ludzie nie znali jeszcze użytku narzędzi kruszczowych, ale wyrabiali je z kamieni, z kości i drzewa twardego, perjod kultury bronzowéj, w którym z bronzu odlewano i wyrabiano narzędzia, naczynia i zbroje; nareszcie perjod kultury żelaznéj, kiedy nauczono się kuć i wyrabiać żelazo.

W takiem następstwie natrafiamy ślady wykopalisk. W najodleglejszych warsztwach, których wiek naznacza Morlot na 5000 do 7000 lat, mieszczą się pozostałości kamiennéj i kościannéj epoki bez żadnego śladu kruszczowego narzędzia lub naczynia.

W późniejszych pokładach znajdują się bronzy, a wiek tych pokładów naznacza tenże Morlot na 3000 do 4200 lat. W ostatnich dopiero napływowych warsztwach znajdują się narzędzia i sprzęty żelazne. Zdaje

się że przez długie wieki ludzie żyli w kamiennéj epoce i że dopiero ruchy obcych ludów, już ukształceńszych i z wyrobami kruszczowemi obeznanych, przyniosły z sobą w te dzikie jeszcze strony używanie narzędzi bronzowych.

Tymczasem nie same tylko wykopaliska, głęboko zagrzebane w ziemi, dają świadectwo o tych odległych, przedhistorycznych czasach, które kamienna kultura obejmowała. Są jeszcze inne, pewniejsze ślady tych w zapadłéj przeszłości minionych epok, na które dopiero w późniejszych czasach zwrócono uwagę.

Na wschodnich wybrzeżach wysp duńskich postrzeżono, na przeszło tysiąc stóp długie nasypy, jakby kurhany, mające 150 do 200 stóp szerokości, a od 7 do 10 stóp wysokości, których wnętrze pokazało się zbiorowiskiem najrozliczniejszych kości, nieskończonéj ilości najrozmaitszych skorup ostrzygowych, muszlowych i ślimakowych, a pomiędzy tém wszystkiém znalazły się zbroje i narzędzia z kamieni, z drzewa i z kości; skorupy roboty garncarskiéj, niewypalone ale suszone, z bardzo lichemi ozdobami, palcem lub pazgnogciem narysowanemi. Mięszały się także węgle i popiół. Widać, że to były odchody kuchenne ludzi tu niegdyś mieszkających, a żywiących się mięsem zwierzęcem i muszlami. Dla tego je téż Duńczykowie nazwali Kjoekkenmoeddings. Inni przezwali je kurhanami muszlowémi dla przeważnéj obfitości znajdujących się w nich skorup muszlowych.

Pokazało się niebawem, że podobne nasypy odchodów kuchennych znajdują się prawie na wszystkich wyspach, począwszy od wysp Szetlandzkich aż do Australii. Widziano je na półwyspie Malajskim i na wschodnich brzegach Brazylii. Charakter ich wszędzie ten sam. Wszystkie sięgają kamiennéj epoki. Nigdzie nie znaleziono śladu jakiegokolwiek metalu. Kości szpikowe są połupane, bo widać szpik ludzie ci wysyssali z kości. Inne, nie mające szpiku znajdują się w całości. Zachowały się na nich najwyraźniéj wytłoczenia zębów ludzkich i psich.

Pomiędzy kośćmi odszukano szczątki najrozmaitszych zwierząt, wszystkich w stanie dzikim, jakoto kości pierwotnego wołu (bos primigenius), który dawno już wyginął, kości jeleni, sarn, bobrów i psów morskich; wilków, lisów, kun, ostrowidzów, dzikich kotów, jeży, szczurów wodnych, wyder i t. p. Nie odkryto nigdzie szczątków renu, łosia, zająca, ani domowych zwierząt jak koni, rogatego bydła i owiec. Jeden tylko pies był, jak się zdaje, u tych ludzi zwierzęciem domowém. Znalezione po nim kości wskazują na gatunek psa, wielkości naszego wyżła. Z ptastwa najwięcéj resztek z dzikich gęsi, dzikich kaczek i dzikich łabędzi, tudzież kur leśnych, żywiących się ponajwiększéj części młodą jedliną, która od niepamiętnych wieków już w Danii nie rośnie, i dziś nie ma już śladu takiego ptastwa w tych stronach. Podobnie znaleziono kości wielkiego nurka (alca impennis), którego ostatnie exemplarze, jak Karol Vogt utrzymuje, w roku 1842 w Islandji wymarły. Kości kur swojskich i drobnego ptastwa nie odkryto nigdzie. Ości rybie, mianowicie śledzi, sztokfiszu, węgorza i innych, dają świadectwo że się owi mieszkańcy i rybami żywili. Śladów zboża nie odkryto żadnych. Rólnictwo zatém po owe czasy nie było jeszcze znaném. Przemysł był na najniższym stopniu. Nie znano użytku ognia do wypalania statków glinianych. Lepiono je rękami i wysuszano na słońcu. Kamienie obrabiano na siekiery, kliny, ostrzejsze wiory kamienne służyły za noże, i spychano niemi mięso z kości. Klinami obrabiano i drążono drzewa.

Obszerniejsze wiadomości o kurhanach muszlowych albo kuchennych podał Karol Vogt w swoich odczytach o człowieku i jego stanowisku tak w całem stworzeniu jak w historyi ziemi naszéj*), do których czytelnika odsyłamy. Tu tylko jeszcze dodamy, że tego rodzaju kurhany w czasach przedhistorycznych powstawały naturalnym sposobem wszędzie po nad brzegami wód, gdzie się osady ludzi mnożyły w liczniejsze zbiorowiska. Ztąd Karol Lyell, znakomity pisarz angielski, którego dzieło o dawności rodzaju ludzkiego na ziemi, wydał w tłomaczeniu niemieckiém z dopisami i objaśnieniami Dr. L. Büchner**) wspomina, że podobne kurhany, jak w Danii, widział po nad brzegiem morskiem w Massachusetts i w Georgii, które zapewne tam nagromadzili Indjanie amerykańscy, w czasach wiele już późniejszych, ale zawsze jeszcze przed odkryciem Ameryki. Znalazł w nich ślady kamiennéj epoki, podobnie jak w Danii.

Drugim zabytkiem ludności przedhistorycznych czasów są torfiska, także nasamprzód w Danii odnalezione; nazywają je tam murszami borowemi (skovmose). Głębokość ich sięga do 30 stóp, a cały pokład takiego torfiska ma kształt lijkowatego wydrążenia, którego ściany z twardych pokładów ziemi porosłe snać były olbrzymiemi jodłami. Jodły te, mające koło półtora łokcia w przecięciu pienném, a liczące kilka set lat wieku, leżą powałem, poobalane, wierzchołkami ku środkowi torfiska, na ostatnich jego pokładach, i wskazują na czasy bardzo odległe, kiedy jeszcze w tych stronach rosły tego rodzaju igliwia, których tam od dawna już nie ma, a nawet siane i przesadzane nie udają się w tych gruntach. Co też w tych warsztwach znajduje się, pochodzi z kamiennéj epoki, na podobieństwo wykopalisk w kurhanach kuchennych. Dopiero w późniejszych pokładach, w których natrafiamy na perjod dębów, jakich dzisiaj także już nie ma w Danii, znajdują się rozmaite wyroby bronzowe, odnoszące się do daleko późniejszéj epoki. Dziś tam tylko buczyna porasta. Dania przeszła tym sposobem trzy oddzielne perjody porostu drzew: jodeł, dębów i buków, zapewne tysiącami lat od siebie oddzielone. Duński archeolog Steenstrup najwięcéj zajmował się skrzętnem ich zbadaniem. Uważał, że pnie wielu jodeł były poopalane i wnosił, że używano ognia do ich obrobienia. Z pod jednéj jodły opalonéj wydobył siekierę kamienną, zdatną do okrzesywania węgli a może i wiorów, ale za słabą i za tępą do przerąbywania grubego drzewa.

Ani w torfiskach, ani w kurhanach, nie natrafiono na kości ludzkie. Wszelako odkryto w pobliżu groby, ułożone z wielkich zestosowanych kamieni, w których się nalazły narzędzia z kamieni i z kości, oraz i czaszki ludzkie. Budowa czaszek uderza małością; są okrągłe bez pojedynczych wypukłości; tylna część głowy krótka, za to łuki nadoczne naprzód wystające i kość nosowa wydatna. Wklęsłość między górną częścią nosa a czołem tak głęboka, że się w niéj wygodnie palec dorosłego człowieka pomieści. Małość i okrągłość czaszki wskazuje na podobieństwo do czaszek Lappończyków, tylko że te ostatnie nie mają takiego wgłębienia górnéj kości nosowéj, ani tak wystającego i skrzywionego obwodu przednich zębów.

Nie ulega wątpliwości, że ludność, która tu za kamiennéj epoki mieszkała, należała do szczepu Finnów, rasy północnéj, u któréj aż do czasów historycznych przechował się obyczaj jedzenia ryb surowych i mięsa surowego, oraz wyssysania szpiku z rur kości. Takie same obyczaje widać posiadali ludzie kamiennéj epoki w północnych stronach Europy, a sięgali aż w północne okolice Niemiec, jak to wskazują odkryte grobowce w Meklemburgii z podobnemi małemi okrągłemi

*) Vorlesungen ueber den Menschen, seine Stellung in der Schoepfung und in der Geschichte der Erde. Giessen 1863. II strona 111.

**) Lipsk 1864 nakładem Theodora Thomasza.

czaszkami. Gdy nam nic a nic o tych ludach nie wiadomo i tylko z zabytków, jakie nam wykopaliska przekazały, możemy robić wnioski i domysły o ich sposobie życia, to też na samych domysłach oparte są twierdzenia badaczy starożytności. Widać, że gromadzili się i osiadali nad wodami, bo w pobliżu brzegów natrafiamy na pomniki po nich. Snać, że się trudnili rybołóstwem, bo w kurhanach kuchennych pełno znajdujemy ości rybich. Zjadali zapewne ryby żywe, jak się to dziś jeszcze dzieje w północnéj Syberji. Zjadali prawdopodobnie surowe mięso ubitych zwierząt, bo gdzieś niegdzieś tylko natrafiamy na ogniska z kamieni, wraz z węglami, co dowodzi że na tych ogniskach gotowano lub pieczono. Atoli jakie ich było rybołóstwo, jakiemi środkami ubijali zwierzęta, nawet domyślać się nie umiemy. Najpewniéj pływali po szerokich pniach, lub na spojonych kilku drzewach na tratwę. Może późniéj wyżłobiali pnie i tworzyli czołna; a łowili ryby gromadami idące, jak śledzie, albo suwające się po trawach, jak węgorze. O sieciach i wędkach zapewne wyobrażenia nie mieli. Zwierzęta dzikie ubijali może naganką, uzbrojeni w drągi lub pałki; ptastwo dosięgali pociskiem kamienia lub drewna. Taki niski i taki smutny przedstawia się stan ludzkości owéj kamiennéj kultury. O ich społeczném, religijném i dziejowém życiu naturalnie nic nie wiemy.

Do jakich wieków one czasy sięgają, odgadnąć tylko można albo z geologicznych obrachunków, albo z obliczenia lat, których potrzebuje formacya n. p. torfowiska. Pod tym względem łatwiéj obliczyć wiek wykopalisk w torfiskach duńskich, niżeli starożytność kurhanów kuchennych. Po tych ostatnich nie ułożyły się warstwy pokładowe ziemi, powlekły je tylko zsypy napływowego piasku i gliny. Z wynajdowanych kości, zaginionych już od dawna zwierząt i ptastwa, wnosić tylko można o dalekiéj epoce, kiedy na ziemiach duńskich jodła jeszcze porastała, a więc około trzech do czterech tysięcy lat, a może i wiele dawniéj.

Inaczéj się rzeczy mają z torfowiskami, mieszczącemi w sobie zabytki epoki kamiennéj. Lyell, któregośmy wyżéj przytoczyli, utrzymuje, że torfiska duńskie najmniéj od lat 4,000 już się były w torf ukonstytuowały, a że do ich formacyi potrzeba było przynajmniéj 16,000 lat. Jeżeli obliczenia jego są prawdziwe, to spodnie warstwy formującego się torfu, w których znajdują się poopalane jodły i narzędzia z epoki kamiennéj, wskazywałyby na wiek dziesięciu do dwunastu tysięcy lat.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Pod jednym dachem.

Powieść
przez
Wołodego Skibę.

I.

Na Babiéj wyspie oczekują ważnych wypadków.

Kto zna Kraków, temu wiadomo niezawodnie, że stary ten gród dzieli się na miasto właściwe i na przedmieścia. Podział ten nie jest żadną specjalnością Krakowa. Prawie każde cokolwiek większe miasto, a nawet często i bardzo małe mieściny, miewają po jedném, albo po parę przedmieść. Rzadko jednak, żeby gdziekolwiek podział ten był tak dokładny i widoczny jak w Krakowie, żeby miasto od przedmieść miało wyraźniejszą i namacalniejszą granicę. Miasto właściwe otoczone jest dokoła zielonym wieńcem plantacji, ulubionem miejscem przechadzek, wszystko zaś, co się po za plantacjami znajduje, stanowi przedmieścia. Mamy więc na północ Kleparz, niegdyś osobne miasto, noszące miano dzisiejszéj stolicy Włoch, Florencji, na wschód Wesołą, na południe Stradom i Kaźmierz, będący do niedawna wyłącznem żydów siedliskiem, na zachód przedmieście Nowy świat, w mowie potoczniéj zwykle nazywane Zwierzyńcem, chociaż Zwierzyniec właściwy dopiero po za fortyfikacjami się znajduje, oraz przedmieście Piasek. Pominęliśmy Wielopole, gdzie miejsca na pomieszczenie czegoś, coby naprawdę przedmieściem nazwać można, jest aż zanadto, bo dziś nie może ono jeszcze mieć pretensyi do téj nazwy i zapewne nieprędko doczekać się będzie mogło jakiejś świetniejszéj przyszłości, bo leży w stronie południowo-wschodniéj, a większe miasta w ogólności lubią się rozwijać na zachód, z przyczyny, o któréj szerzéj piszą jeografowie, która jednakże dla nas w téj chwili jest najzupełniéj obojętną.

Na jedném tedy z przedmieść Krakowa, położonych od strony zachodniéj, więc albo na północno-zachodnim Piasku, lub na południowo-zachodnim Nowym świecie, czego bliżéj z pobudek wyższéj polityki i ze względu na równowagę europejską określać nie chcemy, stał sobie do niedawna, a może i stoi dotychczas domek, który w języku potocznym nazywano Babią wyspą.

Trzeba bowiem wiedzieć, że w Krakowie mieszkańcy uważają za daleko dogodniejsze dawanie domom nazwisk, naprzykład: kamienica pod Rakiem, pod Jaszczurką, pod Dzwonami, pod Trzema różami, pod Zającem, Szara kamienica i t. p., niż oznaczanie ich prozaiczne nazwą ulicy i numerem porządkowym. Cokolwiek o tém mogą powiedzieć nieznający miasta przybysze, sposób ten oznaczania, malowniczością swoją przewyższa o wiele suchą i prozaiczną nomenklaturę cyfrową, a poczciwi Krakowianie tak są do niego przywiązani, że wszelkie usiłowania numeracyjne magistratu na nic się nie przydadzą i uledz muszą pod potęgą zwyczaju. To też wieki jak wieki, ale pokolenia niezawodnie przeminą, a na rynku krakowskim będzie można zawsze słyszeć rozmowy, które się dziś powtarzają codziennie, a są w takim naprzykład guście:

— Gdzież pan dobrodziej mieszka?...

— W dworku pod Dudkiem.

— Ale gdzież jest ten dworek?...

— No, pod Dudkiem... to każdy wie!

— Lecz na któréj ulicy, pod którym numerem?...

— Albom to ja polijya, albo magistrat, żebym miał patrzeć jaka ulica i rachować który numer?... pod Dudkiem i basta.

— Więc gdzież to jest?...

— Niedaleko za plantami.

Plantacje idą do koła miasta, a przedmieścia są w ogóle niewielkie, więc wszystko co nie jest w mieście lub na Kaźmierzu, jest „niedaleko za plantami“ — i bądźże tu mądry z takiego objaśnienia, jeżeliś się nie urodził i nie wychował w Krakowie!... Ale dla Krakowian ono wystarcza, bo kochają swe gniazdo, i że się tak wyrazimy, wyborne je umieją na pamięć.

Znajomość rodzimego grodu jest u Krakowian tak gruntowną i drobiazgową, że gdybyśmy któregokolwiek z nich zagadnęli, dla czego dom, w którym się ma dziać nasza historya, nosił nazwisko Babiéj wyspy, żadenby nam nie został dłużnym odpowiedzi.

Jest tedy w Krakowie legenda, przywiązana do

Babiéj wyspy, bo w Krakowie do wszystkiego są poprzywiązywane legendy.

Według tego podania, które pamięć pokoleń starszych przekazuje poszanowaniu i czci młodszéj generacyi, domek zwany Babią wyspą, nazywa się tak od tego, że w nim nigdy, jak zapamiętają dzieje, nie mieszkało ani więcéj, ani nawet tyluż mężczyzn co kobiet, lecz zawsze znakomita liczebna przewaga była po stronie téj płci, któréj losy, skąpiąc w wymiarze siły muskułów, nadmiarem wdzięku wynagrodzić się starały krzywdę w ten sposób wyrządzoną. Jakiś fatalizm chciał, żeby zawsze ludność Babiéj wyspy przeważnie z białogłów się składała, i nic nie pomogły wszelkie wysilenia ludzkie, żeby inaczéj urządzić ten stósunek.

Jednego roku, jak opowiadają Krakowianie, pewien mieszczanin postanowił zadać kłamstwo legendzie i wprowadził się na Babią wyspę, z żoną swoją i konsolacją z czwórki drobnych synków złożoną. Mieszkańcy wyspy obliczyli się po wprowadzeniu tego lokatora, i ku ogólnemu zdumieniu spostrzegli, że liczba mężczyzn, licząc najdrobniejsze pacholę za całkowitego mężczyznę, była większą o jednostkę od liczby niewiast... Na nic się nie przydały obliczenia pewnego zamieszkałego podówczas na Babiéj wyspie rachmistrza, który wykazał, że liczba lat, do których się przyznawała strona niewieścia, była o dwadzieścia pięć procent wyższą od liczby lat strony męzkiéj, że zatém jeżeli nie liczbą głów, to wagą wieku i nabytego z wiekiem doświadczenia, strona niewieścia stronę męzką przewyższała. Mimo tych obliczeń, mimo wszelkich innych uspakajających wywodów większość lokatorów ze drżeniem oczekiwała jakiéjś okropnéj katastrofy, mającéj zdziesiątkować, a może nawet przepołowić szeregi mężczyzn, aby się stało zadość odwiecznéj tradycyi.

Okropne te przeczucia okazały się płonnemi. Nie było ani epidemii pomiędzy mężczyznami, ani dziesiąta plaga egipska nie powtórzyła się w minjaturowéj edycji. Losy użyły mniéj krwawych sposobów do przywrócenia stanu rzeczy, zapisanego w księgach przeznaczenia. W rok potém ów ojciec czterech synów ujrzał się nagle ojcem czterech synów i dwóch córek, a z upływem jednego roku jeszcze, już liczba jego córek dorównała liczbie synów, wszystka zaś dziatwa chowała się zdrowo i rosła szybko na pociechę bożą.

Odtąd postanowiono nie sprzeciwiać się więcéj woli przeznaczeń, i przy wynajmowaniu mieszkań miano na względzie, żeby nowi lokatorowie nie byli kłamstwem zadaném tradycji. Małżeństwo bezdzietne uchodziło jeszcze, małżeństwo mające jedną lub więcéj córek było poszukiwanem, ale ktoś, w którego rodzinie było mniéj głów żeńskich jak męzkich, próżnoby chciał wyżéj płacić jak poprzedni lokator, pod żadnym pozorem nie wynajęto mu lokalu. Kawalerowie tylko i wdowcy stanowili wyjątek, był bowiem jeden pokoik nieprzydatny dla nikogo, chyba dla kawalera lub dla wdowca, a zresztą większość kobieca była najmocniéj przekonaną, że bez mniejszości męzkiéj byłoby smutno na Babiéj wyspie, oraz że mężczyzna z sercem niezajętém, mogący rozporządzać swą osobą, jest najmniejszém złem z tego złego, jakiém są bez zaprzeczenia mężczyźni.

Taką konstytucją rządziła się Babia wyspa, a gdyśmy już poznali jéj prawa zasadnicze, zapoznajmy się bliżéj z jéj topografią.

Babia wyspa była tedy domkiem parterowym dosyć dużym i mieszczącym w podwórcu kilka maleńkich oficyn, czyli, jak mówią w Krakowie, widermachów, oraz niewielki, ale pełen cienia i kwiatów ogródek.

Z bramy na prawo wchodziło się do mieszkania gospodarza, którym był pan Sebastjan Rękalski, niegdyś kotlarz, obecnie dosyć zamożny człowiek, nie trudniący się żadnym przemysłem, lecz żyjący z dorobku i oddający się gorliwie naukom, w których tak wielkie położył zasługi, że chociaż o jego pracach drukowanych lub rękopiśmiennych nic nie wiedzieli najbieglejsi bibljografowie krakowscy, przecież bez najmniejszego wahania, skoro tylko tego zażądał, w poczet członków Towarzystwa naukowego przyjętym został. Nic wprawdzie dotąd naukowego nie napisał i nie wydał, świat uczony starego grodu wiedział jednak o nim, że nie próżnuje, i że, jeżeli tylko pożyje tak długo, jak na taką ważną pracę potrzeba, będzie mógł rzucić wiele światła na legendę o smoku zabitym przez Krakusa, nad któréj zbadaniem już od lat trzydziestu czterech, a więc od połowy swego żywota bezustannie pracował.

Wiedziano nadto, że poszukiwania pana Sebastjana nie były bezskuteczne, albowiem pan Sebastjan już się poufnie zwierzył przed kilku znakomitemi starożytnikami krakowskiemi, że, zdaniem jego, zabicie smoka za pomocą siarki nie może być bez związku z kąpielami siarczanemi w Swoszowicach pod Krakowem, że więc mając siarkę tak blisko, Krakus mógł bardzo łatwo zgładzić za jéj pomocą smoka, a możność zgładzenia każe się domyślać, że i sam potwór, którego zgładzono, był autentycznym, i że szkielet jego w głębi Smoczéj jamy w stanie skamieniałym, pokryty warstwą naniesionéj od wieków ziemi koniecznie znajdować się musi. Tak daleko zaszły badania pana Sebastjana i nie było wątpliwości, że zajdą daléj, zwłaszcza jeżeli władza zechce pozwolić na kopanie w Smoczéj jamie tak głęboko, aż się ów szkielet wynajdzie, — nie ma się więc co dziwić, że pan Sebastjan, który sam zresztą, jako liczący siedem krzyżyków bez dwóch lat, należał już do antyków, był w niemałem poważaniu u archeologów Krakowa.

Pan Rękalski był wdowcem i ojcem trzech cór na wydaniu, którym dał imiona: Teodora, Eleonora i Izydora, pragnąc aby końcówka „ora“, co po łacinie znaczy „módl się“, przypominała im zawsze, iż więcéj pamiętać powinny o chwale bożéj, niż o marnościach tego świata.

Panny trzymały się též ściśle téj błogosławionéj maksymy, i jeżeli wiele myślały i mówiły o rzeczach znikomych i ludzkich, nierównie więcéj zajmowały się rozmyślaniem o czterech rzeczach ostatecznych, i nie było odpustu w Krakowie, na którymby ich nie było, w czém miały to ułatwienie, że będąc trzy, jako gracje, nawet w tych dniach kiedy przypadało aż trzy odpusty, mogły być na każdym reprezentowane, czyli, jak mówią w Krakowie, „zastąpione.“

Delikatność, od któréj żaden kodeks powieściopisarza nie uwalnia, nie pozwala nam wdawać się w ścisłe określenie wieku panien Rękalskich. Niewypada nam nawet mówić, jak dawno rozstała się z tym światem nieboszczka pani Rękalska, gdyżby i to już mogło rzucić pewne światło na tę dość drażliwą materję. Panny Rękalskie miały po lat ośmnaście skończonych niezaprzeczenie, czego zresztą nie zapierały się wcale, chociaż nie były namiętnemi zwolenniczkami rozmowy o tym przedmiocie.

Od jak dawna tak było, niechaj się domyśli kto może.

Kiedy są w domu panny ośmnastoletnie, a do tego jest ich aż trzy, kiedy te panny mają jakiś posażek, bo są córkami dosyć zamożnego człowieka i właściciela kamieniczki, naturalném jest pytanie, dla czego dotąd przynajmniéj najstarsza z nich jeszcze za mąż nie poszła? Mógł być tego przyczyną brak konkurentów, ale mogły być także wymagania jakie tym konkurentom stawiano. Łatwo pojąć, że panna nie wychodzi za mąż w pierwszym przypadku, w drugim razie rzecz jest nieco więcéj skomplikowana i wymaga szerszych objaśnień.

Otóż, chcąc ażeby nasza kronika Babiéj wyspy była o ile możności dokładną, rozpytaliśmy się i o ten szcze-

gół archeologów Krakowa, a raczéj archeologiń tego miasta, gdyż te o takich rzeczach zwykle daleko lepiéj są zawiadomione. Archeologinie krakowskie, osoby które w ogólności mają wstręt do zachowywania w sekrecie szczegółów dotyczących przeszłości swych bliźnich, objaśniły nas notorycznie (wyraz ulubiony w Galicji), że panny Rękalskie bynajmniéj nie z powodu braku konkurentów nie powstępowały w związki małżeńskie.

Dawniejszemi czasy kręcił się koło nich ten i ów matrymonialnemi aspiracjami ożywiony młodzieniec. Każdy z takich młodzieńców zdawał się najodpowiedniejszą dla panien Rękalskich partją: jeden był kotlarzem, jak ich ojciec, drugi bronzownikiem, trzeci blacharzem, czwarty mosiężnikiem, piąty ślusarzem, co wszystko mniéj więcéj z kotlarstwem jest pokrewne. Ale pan Sebastjan Rękalski już w owe czasy zarzucił kotlarstwo i puścił się na ocean badań historycznych, przekonywał więc córki, że partje takie nie są dla nich stósowne, i że powinny poczekać, aż im się zaczną nadarzać młodzi archeologowie.

Panny w poszanowaniu czwartego przykazania wychowane, zastósowały się do téj rady i czekały, czekały długo, doczekać się przecież nie mogły, dla téj prostéj przyczyny, że w Krakowie mężczyźni oddają się archeologii tak, jak pan Sebastjan, gdy dojdą do lat dojrzałych i gdy są oddawna żonaci, a mają do żon jakieś szczęście, bo im żyją tak długo, jak legendy krakowskie, dłużéj zwykle, niż oni sami. Ztąd wynika, że z małemi wyjątkami (wyjątkiem takim był właśnie ojciec panien Rękalskich), archeolog kawaler, lub archeolog wdowiec jest niesłychaną na horyzoncie krakowskim rzadkością.

Tym sposobem panny Rękalskie, choć ich natura nie pokrzywdziła bynajmniéj w podziale wdzięków, były bowiem średnio-przystojne i wiele brzydszych od nich już oddawna poznajdowało małżonków, pozostały pannami aż do lat ośmnastu skończonych i wyznanych publicznie.

Panny Rękalskie na Babiéj wyspie były rzeczywistemi gospodyniami, ojciec bowiem zajęty naukowemi badaniami nie miał czasu zajmować się domem. Kilka razy na tydzień musiał zwiedzać Smoczą jamę pod zamkiem, pragnąc w niéj coś nowego do objaśnienia legendy dopatrzeć, parę razy na tydzień jeździ do Swoszowic robić nowe odkrycia we względzie owéj siarki, resztę czasu poświęcał na posiedzenia Towarzystwa naukowego, na pisywanie memorjałów do rozmaitych władz autonomicznych i politycznych, których cała encyklopedja jest w Galicyi, ażeby mu pozwolono wkopać się pod Zamek w celu robienia archeologicznych poszukiwań, oraz ażeby na koszta tych poszukiwań wyznaczono odpowiedni fundusz. Podania te nie pozostawały nigdy bez skutku: ilekroć pan Rękalski odwołał się do władzy politycznéj, władza ta odpowiadała, że rzeczy tego rodzaju do władz autonomicznych należą, gdy zaś sędziwy archeolog władzę autonomiczną memorjałem swoim zaniepokoił, otrzymywał wskazówkę, że do władzy politycznéj w tym względzie odnieść się powinien. Tak się dzieje z bardzo wieloma rzeczami w Galicyi, nic więc dziwnego, że i z archeologją pana Rękalskiego działo się tak samo. Był to normalny bieg interesów, który bynajmniéj naszego uczonego niepokojem o przyszłość jego odkryć nie przejmował.

Z życia tak skrzętnie szafowanego na naukowe cele, pozostawało więc panu Sebastjanowi tylko tyle, ile właśnie potrzeba na zadośćuczynienie obowiązkom zamożnego krakowskiego mieszczanina, a mianowicie na pilnowanie nabożeństw i na poobiednie sesyjki w handlach korzennych z dobremi znajomemi i przyjaciołmi. Na zajmowanie się swym dobytkiem pan Sebastjan w ten sposób nie miał ani chwili.

Szczęściem, córki wyręczały go w tym względzie zupełnie. Panna Teodora utrzymywała meldunki, panna Eleonora była jeneralną poborczynią komornego, panna Izydora miała pod swoim zarządem porządek domowy i specjalnie zajmowała się ogródkiem. Rzecz naturalna, że to wymagało znakomitego uzdolnienia panny Teodory w administracji, kaligrafji i ortografji, panny Eleonory w buchalterji, skarbowości i ekonomji politycznéj, a panny Izydory w architekturze i botanice. Widać, że panny posiadały tych wiadomości ile było potrzeba, gdyż pan Sebastjan nigdy nie miał zatargów o meldunki z policją, w kasie domowéj nigdy nie było deficytu, a dom na zewnątrz i na wewnątrz wyglądał schludnie i czysto.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Mówią, żem sztukmistrz...

— On jest świątynią bez Boga.

Mówią, żem sztukmistrz, że w błyskotki słowa
Odziewam myśli i puszczam do ludzi,
Że ducha mego cisza lazurowa,
Żadną się walką wnętrzną nie utrudzi;
Że kiedy z piersi méj wyrwą się lotne
Pieśni i płyną w harmonijnym śpiewie,
To we mnie czucia nie drżą tak, samotne,
Jak po odlocie ptaków — liść na drzewie.

Mówią, żem sztukmistrz!... Dąbrowo, dąbrowo!
Czy nie mówiłaś ty do mnie od rana?
Czy dębów-starców rzesza rozszemrzana
Duszy mi tajną nie mąciła mową?
Gdy pól na wiosnę — grało młode tętno,
Gdy Czerwiec czesał gwiazdom złote włosy,
Gdy wicher zimą śpiewał pieśń namiętną,
Czym was nie słuchał — ziemio i niebiosy?!

Mówią, żem sztukmistrz... O pamiętny, drogi
Uścisku matki mojéj... o gorące
Słowa pacierza i łaski milczące,
Coście — jak druchny, wiodły mnie za progi,
Uniesień pierwszych niezatarte rysy, —
Ziemio, pokryta rajskich złudzeń tkanką!
Ostatnie róże i pierwsze cyprysy
Nie kwitłyż u mnie?... Matko i kochanko!

Tytańskich dążeń myśli i zapały,
Wiara, co ziarno mieni w bujne zboże,
Trud dla przyszłości w cieniu i pokorze, —
Głodny poświęceń i przed sobą mały;
Duchy tych, którzy miłością zuchwali,
Legli pokosem na postępu torze,
I mogiłami mleczny szlak wytkali,
Pierzchłyż odemnie... Ludzkości i Boże?!

Nigdym Cię, Panie, nie widział oczyma...
Lecz przyjście twoje znam po wielkiéj trwodze,
Wiem, że złość ludzka przeczy twojéj drodze,
Żeś jest, gdzie oczom ludzkim Ciebie nie ma:
I dziś choć z szaty kapłańskiéj odarty,
Choć jad zwątpienia zemdlił moje serce,
Czuję cię nawet w téj myśli rozterce
I twojéj ręki chwytam się uparty.
. . . .

Naprożno! Świat mi w oczach się odmienia,
Upadek w myślach, w uczuciach posucha!

Z gorączką sięgam w skarbiec mego ducha
Rozpaczy! Nie mam ni światła, ni cienia,
Dziecka, ni kwiatu, hymnu ni westchnienia!

Lecz stój! nie tryumfuj aniele zwątpienia!

Odsłonię okno... Ciężką głowę złożę:
I myśleć będę o śmierci, o życiu,

O tobie ziemio i o tobie, Boże:
O zgonie liści i kwiatów rozwiciu,
O białym śniegu, który krew wylaną
Kryje, nie dając pyłu poniewierce,
O téj, co tchnęła pulsów moich biciu
Siłę nieznaną i rozkosz nieznaną,
O dniach ubiegłych, i znów, jutro rano,
Będę miał pieśni nowych pełne serce!

Władysław Ordon.

Dr. Ludwik Léger.

Na pierwszem miejscu działu przeznaczonego na biografie znakomitych ziomków i cudzoziemców, kładziemy imię męża mało znanego w kraju naszym, choć wspominanego od lat kilku częstokroć w czasopismach innych ludów słowiańskiego szczepu. Zwięzłemi słowy opowiemy krótkie, lecz płodne w czyny i użyteczne dla nas i dla całéj wielkiéj rodziny Słowian, życie uczonego naszego przyjaciela, Francuza. Podane tu szczegóły zaczerpnęliśmy częścią z dzienników francuskich i czeskich, częścią z opowiadań polskich wychodźców, którzy się z nim stykali na gościnnéj ziemi Franków.

Dr. Ludwik Léger ma dziś dopiero lat dwadzieścia siedm. W roku 1863 kończył kursa na fakultecie paryskim. Studenci paryscy są, jak wiadomo, uorganizowani w towarzystwa prywatne; płacą pewną składkę kwartalną, mają salę zebrań i czytelnią.

Przy końcu roku uniwersyteckiego, gdy podskarbi zdał rachunek, wykazało się, że było jeszcze w kasie 463 franki. Prezes zapytał więc zgromadzenia, na jaki cel obrócić pozostałe pieniądze. Wystąpił wtedy p. Léger i zaproponował w krótkich, lecz gorących słowach, aby tę kwotę przesłano Komitetowi Narodowemu polskiemu, utworzonemu w Paryżu, z wyraźnem zastrzeżeniem, że ją dawcy przeznaczają jedynie na zakupno broni i amunicji dla powstania. Wniosek dano pod głosowanie i p. Léger miał za sobą siedmnastu przeciwko 200 z górą. Przeważająca większość postanowiła natomiast, aby stowarzyszeni złożyli jeszcze dodatkowo po 25 franków, celem wyprawienia po za murami miasta ogólnéj uczty. Tak się téż stało; Dr. Léger i 17 zwolenników jego wniosku nie złożyło owych 25 franków i nie zasiadło w gronie biesiadników. Wypadek ten malujący dostatecznie charakter i zapatrywanie się na naszą sprawę szlachetnego młodzieńca, niechaj służy za odpowiedź tym, co rzucali nań oszczerstwa, że jest Moskalofilem.

W roku 1862 jeszcze jako student, Dr. Léger jął się nauki polskiego języka z pomocą i pod przewodnictwem zacnego Aleksandra Chodźki, profesora w kollegium francuskiem w Paryżu języków i literatur słowiańskich, po Adamie Mickiewiczu. W miesiąc późniéj zaczął się uczyć i języka rosyjskiego, a przy wielkiéj pracy i intelligencji tak ucznia, jak mistrza, już z początkiem roku 1863 odpowiadał dr. Léger na niecne zaczepki moskiewskiéj prasy, w obronie Polski, w wielu dziennikach, a szczególniéj w La Pologne, wydawanem w Brukseli. Równocześnie studjował gruntownie kwestyą Słowiańszczyzny, a mianowicie Polski.

Z prac swych literackich wydał w Paryżu w roku 1864:

1) Notice sur Paul Susine. (Paweł Suzin zginął w powstaniu na Litwie jako dowódzca oddziału.)

2) L'Encyclique du Tsar. (Tłumaczenie z moskiewskiego, uzupełnione dodatkami i objaśnieniami).

W lecie tegoż roku gorliwie się zajmował nowo przybyłymi na tułactwo naszymi współbraćmi. Sam z własnego natchnienia postarawszy się u władzy o pozwolenie na wykład praktyczny języka francuskiego, wyszukiwał emigrantów, co potrzebowali téj nieoszacowanéj pomocy. Rozpocząwszy owe lekcye za darmo na jednéj ze sal szkoły Batinjolskiéj, miał kilkudziesięciu uczniów od 16 do 60 roku życia. Odbywały się wykłady te dwa razy na tydzień od 8 do 10 godziny wieczorem — i pomimo przykréj pory jesiennéj i zimowéj, mimo odległości 1 geograficznéj mili (bo mieszkał wtedy przy ulicy St. Jacques) nigdy lekcyi nie opuścił, ani się nie spóźnił, lecz uczniowie podobno często chybiali... Widząc nadto, że znajomość języka francuskiego jest niezmierną zawadą do wyrobienia emigrantom miejsca na jakiembądź polu, upoważnił, a nawet prosił, aby ci, co mogą, przychodzili do jego mieszkania na lekcye od 12téj do 1éj w południe, a prócz tego we wtorki, czwartki i soboty, jeszcze od 5téj do 6téj po południu. Podczas tych lekcyi w kawalerskiem, natłoczonem książkami mieszkaniu, nierównie więcéj pracował nad wykształceniem naszych ziomków. Tak więc cały niemal wolny od obowiązkowych zatrudnień czas poświęcał polskiéj emigracyi, choć mu każda chwila była droga, bo całe jego utrzymanie stanowiła szczupła pensja profesora, a równocześnie uczył się języków słowiańskich, jako czeskiego, serbskiego i kroackiego. Sam ubogi, nieraz wspierał datkiem biedniejszych ze swych uczniów, tłumaczył dla nich mnóstwo dokumentów, próśb, listów, wyszukiwał im miejsca, zbierał chętniejszych i chodził z nimi do publicznych bibliotek, pracując z nimi i dla nich, i wprowadzając ich tym sposobem na drogę samoistnego kształcenia — słowem całem sercem był dla nich wylany.

W roku 1865 zaproszony, jako członek honorowy, przez Towarzystwo pracujących Polaków w Paryżu, na jajko wielkanocne, powiedział dr. Léger z pamięci piękną i patrjotyczną w języku polskim przemowę, któréj odpis mamy pod ręką, a jedynie z braku miejsca nie możemy jéj tutaj przytoczyć. W tymże roku na pięćdziesięcioletniéj rocznicy częściowego oswobodzenia Serbów, w Montmorency, w obec stukilkudziesięciu biesiadników i czternastoletniego wówczas księcia Miłosza Obrenowicza, miał dr. Léger świetną mowę o łączności słowiańskiéj.

W roku 1864 odbył pierwszą podróż do Pragi Czeskiéj, zkąd powrócił uniesiony wielkością ducha narodowego w ludzie czesko-morawskim.

Dr. Léger zna dokładnie języki: francuski, niemiecki, angielski, włoski, łaciński, grecki, polski, rosyjski, litewski, ruski, czeski, serbski, kroacki i bułgarski, — jest przeto jednym z pierwszych poliglotów; u nas jeden tylko uczony Al. Chodźko zna więcéj języków. Zaprawdę, patrząc na na tego Francuza, mówiącego biegle wszystkiemi słowiańskiemi językami, powinniśmy mocno się wstydzić powszechnéj u nas nieznajomości pobratymczych narzeczy!...

Z prac literacko-naukowych wydał w roku 1866:

3) Chants héroiques et chansons populaires des Slaves de Bohême.

4) L'Etat Autrichien, la Hongrie, la Bohême.

5) La Bohême historique et littéraire.

Ostatnie dzieło opracowane wspólnie ze znakomitym wychodźcą czeskim, a wielkim przyjacielem Polski, Dr. Józefem Fryczem, zakazanem zostało w cesarstwie austryackiem.*) Założonemu przez tegoż towarzystwu pod nazwą: Cesko-Moravska Beseda w Paryżu, ofiarował swoje usługi, miewając w niem często prelekcje z historji porównawczéj literatur słowiańskich.

W roku 1867 biskup kroacki, uczony i mąż stanu, Strossmayer, który na ostatnim soborze tak wielką grał rolę, odwiedził Dr. Léger, polubił go i zaprosił do siebie. Czyniąc zadość jego życzeniu, udał się Léger przez Włochy do Kroacji i Serbji, a przez Czechy i Prusy powrócił do Paryża. W każdéj z tych podróży starał się usilnie wzbogacić bibliotekę polską w Paryżu — i dzięki Dr. Léger, biblioteka taj otrzymała mnóstwo szacownych dzieł czeskich, kroackich, serbskich i innych, i odtąd pozostaje w komunikacji ze słowiańskimi uczonymi.

6) Opis historyczno-polityczno narodowy tych podróży, umieścił dr. Léger w La Revue moderne, w Paryżu. W tem samem piśmie umieścił przekład poematu Juliusza Słowackiego: „Anhelli".

W r. 1868 wydał:

8) Cyril et Methode, étude historique sur la conversion des Slaves au Christianisme.

Znakomite to dzieło wyrobiło mu stopień Docteures-lettres na fakultecie paryskim. W r. 1867 miewał wykłady popularne dla rzemieślników w jedném z merostw paryskich o historyi powszechnéj, a w szczególności o historyi polskiéj, odznaczające się poglądem nader dla nas przychylnym a bezstronnym. W r. 1868 rozpoczął w Sorbonie Cours de littératures Slaves, mając zawsze znaczną liczbę słuchaczy.

W roku bieżącym umieścił Léger w Revue littéraire de la France et de l'étranger jako odpowiedź na rzecz pana Dove „O Aleksandrze Humbolcie," artykuł pod tytułem La patrie de Copernik. Autor dowodząc w krótkich, lecz treściwych słowach, jak bezzasadnie przywłaszczyli sobie Niemcy wielkiego astronoma, popełnił przecież niewytłumaczony dla nas błąd, nadając mu imię Jana. Nie pojmujemy, że nigdzie nie sprostowano usterku, który uważać możem chyba za lapsus calami, a którego nie zauważyły nawet pisma rozbierające wzmiankowany artykuł, jak naprzykład warszawski „Bluszcz**)."

Tak wszelkie prace literackie Léger'a, jako też prelekcye odznaczają się szczególną bezstronnością. Szuka on wszędzie prawdy naukowéj i tylko prawdy bezwzględnéj. Nie przyjmuje a priori żadnéj teoryi, żadnego systematu, jeżeli się sam o jego prawdziwości z głębokich nie przekona studjów. Jest on na polu naukowym otwartym przeciwnikiem wywodów Franciszka Duchińskiego, — inde irae zwolenników doktryny szanownego badacza i niewarte wspomnienia oszczerstwa... W czasie, gdy głosy przeciwne najbardziéj się wzmogły, słowa jenerała Władysława hr. Zamojskiego, wyrażającego się o dr. Léger z największą przychylnością i uznaniem, wskazały ludziom nieuprzedzonym prawdę. To pewna, że dr. Léger, choć pragnie całem sercem łączności słowiańskiéj, panslawistą we właściwem znaczeniu tego wyrazu nie jest. Zdanie swoje wypowiada on jasno, sąd jego zdrowy i bezstronny, bezwzględny na utarte formuły, — a pomimo to zawsze przebija sympatja szlachetna dla Polski.

Powstanie z r. 1863—64 nazywa on ogólnie wielkim błędem politycznym, choć przyznaje, że na drodze postępu praw człowieka i ludzkości całéj, wiele sprawiło dobrego. Nie zna, jakeśmy już mówili, parcjalności w nauce, osobistą nienawiścią lub takąż krytyką się brzydzi. Nie broni Polakom w ideach patryotycznych być nawet namiętnymi, lecz sobie także zastrzega prawo własnego sądu.

Z każdéj podróży po Słowiańszczyznie prócz licznych znajomości z ludźmi uczonymi, przywozi coś ze słowiańskich strojów narodowych, z broni, narzędzi muzycznych, wyrobów miejscowych i t. p. osobliwości i pamiątek, nie licząc książek, rękopismów i muzykaliów. Dla tego też jego skromne, a schludne mieszkanie przy rue Bontarel 6, zapełnione jest tem wszystkiem, i niejeden bogaty Słowianin pozazdrościłby mu takiego zbioru.

Dr. Léger lubi muzykę, i codziennie poświęca fortepianowi najmniéj godzinę, wygrywając na nim nie tyle może ze sztuką mechanizmu, ile z uczuciem utwory Chopin'a, Moniuszki i innych polskich mistrzów, oraz wszystkie słowiańskie śpiewy narodowe. Zajmuje się także specjalnie grafiką polską, i w ostatnich sporach o ortografję, koryfeusze nowego abecadła, jak ks. Malinowski i dr. Rzepecki, częstokroć się powoływali na jego zdanie

Dr. Léger ma następne tytuły:

Docteur-es-lettres de la Faculté de Paris.

Członek Towarzystwa Historyczno-Literacko-Polskiego w Paryżu.

Członek Société de Linguistique à Paris.

Ucona Spolecnost w Pradze.

Serbska Matica w Nowym Sadzie.

Uczone Drużstwo w Belgradzie.

Towarzystwa Polaków pracujących w Paryżu.

Cesko-Moravska Beseda w Paryżu.

Oto zaledwie w najogólniejszych zarysach szczegóły z życia i prac uczonego Słowianofila. Zasługuje on niewątpliwie, by wprawniejsze pióro podjęło się rozbioru dzieł jego; my tylko w szczupłych łamach Tygodnika uważaliśmy za obowiązek dać pochop do bliższego ocenienia uczonego męża, i oddać hołd zasłudze, tém więcéj godnéj uznania, im mniéj mogła liczyć na rozgłos lub materjalne korzyści, — zajmując się szczególniéj losem narodu, nie budzącego już, niestety, między ludami współczucia.

Klemens Kantecki.

*) Patrz Dziennik paryski „Le National" (Nr. 81, samedi 10 avril 1869). „Le livre de Mr. Louis Léger: „La Bohême historique et littériare" vient d'être interdit en Russie par la censure."

**) W chwili, gdy już Tygodnik jest pod prasą, wyczytujemy w świeżym numerze Gazety Toruńskiéj przekład artykułu Léger'a dokonany przez X. Polkowskiego. Szanowny tłumacz zwraca w przypisku uwagę na omyłkę, dotyczącą imienia Kopernika.

Z dramatu „Kasper Karliński."

Akt II., scena VIII.

Stadnicki uwiódłszy poprzednio siostrę Karlińskiéj, w akcie drugim zjawia się w zamku olsztyńskim, jako poseł z obozu nieprzyjacielskiego, aby nakłonić Karlińskiego do poddania się. Szlachetny starzec ze wzgardą odrzuca propozycyą układów z niepzyjacielem i wskazuje drzwi Stadnickiemu.

STADNICKI.

Jak psa mię przyjął i jak psa wypędza!
Ale ja hańby mojéj nie daruję!
Mości Karliński! wątła bardzo przędza,
Na któréj waszeć plany swoje snuje.
Znam wszystkie drogi i przejścia tajone,
Będziem się ważyć, — a ujrzym po chwili
Szczęścia i pomsty szale pochylone,
Na czyją stronę fortuna przechyli?

(Po chwili).

Zdrajcą mię nazwał ten starzec zuchwały,
A jam w krwi jego nie skąpał oręża..

I jak on wielki tak ja byłem mały,
Czułem, że jakaś siła mię zwycięża!
Jam się nie pomścił... O wieczna sromoto!
A on mię razil słowami jak gromem...
Za to jak Samson potrząsę tym domem,
Aż własne gruzy starego przygniotą.

(Jakby w obłąkaniu).

Ale i wtedy z pod krwawych popiołów
Grzmieć będzie słowo, z ust strasznego Boga:
„Nie kalaj zdrajco mogiły aniołów,
Z piętnem Kaima w świat, — otwarta droga!“

(Chłonąc nieco).

Straszno jeżeli brat brata odsunie,
Gdy w serce ból się weźre nakształt wrzodu,
Człowiek podobien jest pękniętéj strónie
Dyszącéj fałszem na harfie narodu...
Czemuż bezładu jéj dźwięków o Boże!
Dłoń Twa w harmonią tonów nie nastroi?
Czemuż kto upadł podnieść się nie może,
Ani natrafić prostéj drogi swojéj?
Mamże bez końca błądzić w têm pomroczu,
Z duszą zbolałą i sercem strzaskanem?
O mocny Boże! zdejm bielmo z mych oczu!...
Lub nie,... zostanę jak dawniéj szatanem!...

(Gwałtownie).

Jak dla mnie nie ma w têm życiu pociechy
I ja dla drugich nie znajdę litości...
Śmierć i pożogę poniosę pod strzechy,
Szpony me wpiję aż do szpiku kości!
Pamięć się o mnie przedrze w pokolenia,
Bo wszędzie staną moich czynów świadki;
I nieraz grozą mojego imienia,
Niesforną dziatwę będą straszyć matki!

(Pauza).

Matka? . . . .
Matka mię niegdyś uczyła pacierza...
Kiedyś, gdy serce rwało się do świata...
Dzisiaj pierś moja spokojniéj uderza,
I serce zwiędłe miarowo kołata!
Znam miarę stopni i wiem żeś Bez miary...
Jakież Cię będą najgodniejsze słowa?
Odgrzebię popiół przygasły i stary,
Może się wewnątrz jaka iskra chowa?
„Ojcze nasz, Boże, któryś jest na niebie,
Użycz mi jedną, jedną gwiazdkę małą!
Boże!... któryś jest tam — gdzie nie ma Ciebie...“
Tyle mi tylko niestety zostało!

(Wchodzi synek Karlińskich i zbiera z ziemi zabawki).

Serce zamarło a z oczu łzy płyną,
Rozpacz się w piersiach rozpostarła głucha:

(Zwracając się nagle do dziecka).

Módl się ty za mnie anielska dziecino,
A Bóg aniołów, może cię wysłucha!
Niechcesz się modlić?... O, znam cię pacholę,
Co niewinnością przygniatać chcesz zbrodnię;
Zgaszę tę gwiazdę co lśni na twém czole,
A w ręce dam ci pogrzebu pochodnię.
Tak będziesz ojcu przyświecać w żałobie,
Jak blada jutrznia gdy gaśnie przed rankiem.
Nie chcesz się modlić?... a więc ja cię zrobię,
Stadnicki szatan, maleńkim szatankiem!

(Porywa dziecię, które z krzykiem wydziera się).

Poczekaj teraz ty stary zuchwalcze!
Nawiodę ja ci strasznéj grozy chmury
A w chmurach piorun! — No, cicho bądź malcze!
Albo twój czerep roztrzaskam o mury!

(Znika w tajemnych drzwiach).

Wł. Bełza.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Pierwsza uwaga nasuwająca się pod moje dziewicze pióro, jest smutne podobieństwo kronikarza do... księżyca. Tak jest, łaskawi czytelnicy, do księżyca! Jak ten świecznik niebieski, blady zakochanych powiernik, bezbarwną plamą zawisłbym na horyzoncie tego pisma, gdyby mnie słońce łask waszych nie wspierało. To smutne położenie zniewala mnie do rozpaczliwéj odezwy, któréj, sądzę, wszystkie serca współczujące odpowiedzą.

— Faktów! korespondencji! wiadomości! łaskawi czytelnicy, inaczéj zginąłem! —

Pierwsza ta kronika jest Herkulesową pracą. Poważny Poznań prawdziwa ziemia wygnania dla kronikarzy.

Ciszaześrodkowana i pracowita, szelest jesiennych liści, perjodyczne błoto, od chwili do chwili, rozdzierający dyssonansem powietrze, okrzyk: „Extrablatt!“ — oto atmosfera naszych powszednich dni.

Nic dziwnego przeto, jeśli najbardziéj równego i pogodnego humoru kronikarz, zachwyci coś ze splinu unoszącego się w powietrzu i, jak ja, załamawszy ręce przed pracą, bez materjału stanie.

Tyle powiedziawszy pro domo sua i opuszczając rzeczy przed urodzeniem naszym zdarzone, przechodzę wprost do szczupłéj wiązanki tygodniowéj.

* * *

Mimowoli przypominam sobie jedno z wrażeń dzieciństwa.

Przybycie gości stawało się dla całéj naszéj gromadki osobliwem świętem.

Ruch, krzątanina w domu na ich przyjęcie, prawdziwą radość nam sprawiały a przygotowania do odjazdu żywy budziły niepokój. Z tem samem uczuciem witałem w ostatnich dniach wieść o przybyciu do naszego miasta p. Morawskiego, zasłużonego autora „Dziejów porozbiorowych“, oraz będącéj pod prassą „Historji Polski“. — a także pp. Hertza i Baranowskiego. Teraz trwożnie mi tylko, czy już nie kazano zaprzęgać koni? Co do p. Morawskiego, mam tę miłą pewność, że przez całą zimę u nas pozostanie, nie tak jak p. Maleszewski, za którym smutne Muzy jego pracowni w stronę Bordeaux spoglądają.

P. Baranowski, wyszedłszy z pod kierownictwa J. I. Kraszewskiego pocieszającą dla nas robi nadzieję utworzenia drzeworytniczéj szkoły w Poznaniu. Byłaby to prawdziwa zasługa — do któréj drogę Styffi w Warszawie pokazał. Oglądaliśmy próbki prac młodego artysty i delikatnością wykonania byliśmy zachwyceni. Na téj drodze jest u nas tak wiele jeszcze do zrobienia!

* * *

Bibliograficzne fakta i nadzieje przedstawiają się bardzo skromnie, jak na dzisiaj.

Mamy w téj chwili przed sobą książkę p. Vincent Arnèse noszącą tytuł: „Etat des sciences et des arts en Italie depuis le V siècle jusq' à nos jours“. Autor jéj, nasz współobywatel, właściciel Uścikowa, połowę dochodu przeznaczył na Sybiraków. Treść stanowi cenny materjał opracowany zbyt dorywczo.

Dowiadujemy się także o pojawieniu się na widok publiczny odczytu dra. Łebińskiego: „O podstawach przemysłu“ i nowéj pracy p. M. Jackowskiego, autora „Rzutu oka na nasze sprawy“, p. t. „Ułomności nasze narodowe i społeczne oraz środki zapobieżenia tymże“.

Należy w końcu powiedzieć słów kilka o dopiero co wyszłym Roczniku Teatralnym. Pierwsza to próba w tym rodzaju. Dotychczas roczniki podobne, wydawane staraniem i nakładem suflerów teatralnych, zawierały w sobie same tylko wiadomości teatralne, upstrzone staremi jak świat anegdotami — a roznoszone razem z noworocznikami listonoszów, woźnych i t. d., rozchodziły się tylko drogą łaski i zwyczaju. Obecny prócz części administracyjnéj posiadając przy niskiéj cenie wartość literacką, ma prawo do uwagi czytającéj publiczności. Szczęśliwy skutek téj próby może być dla Dyrekcji bodźcem do rozwinięcia i ulepszenia następnych roczników.

Pożądaną byłoby rzeczą, ażeby odczyt dra Warnki „O wybiciu się na swobodę Niderlandów,“ napisany z Szylerowską werwą ogłoszony był także drukiem.

* * *

Otwarcie szkoły Żabikowskiéj jest na polu ekonomiczném u nas prawdziwym wypadkiem. My idąc pod tém samém godłem: „Sapias et libereris“, które rozwinął w świetnéj mowie swojéj dr. Au, witamy nową instytucję gorącém: „Szczęść Boże!“...

* * *

Od niejakiego czasu reklama stała się potęgą, któréj nic oprzeć się nie zdoła. Doświadczyliśmy tego na sobie, oczekując z niewymowném natężeniem na szumnie zapowiedziany koncert pani Marji Mallinger. Gdyby nie oczy, sądzilibyśmy, że jesteśmy ofiarą mistyfikacji. Głos koncertantki, pochodzący z krainy niedoścignionych powabów (styl reklamy) był istotnie zadziwiająco... fałszywy. Znużenie, czy zużycie zabiło subtelność słuchu koncertantki. Arja z Wesela Figara, arcydzieło, niegdyś przedmiot zachwytu publiczności monachijskiéj, dziś zdała nam się być odegraną na skomplikowanym, lecz zepsutym instrumencie. Piosenki Tauberta i pełna biegłości, choć bez uczucia, gra panny Menter, pogodziłyby nas z koncertem, gdyby nie obrażające wygnanie Moniuszki z programatu. Bądź co bądź, Halka była dobrym wabikiem na polską publiczność — daj nam Boże lepiéj wydawać pieniądze!

* * *

Z ulżeniem po téj wzmiance przejdziemy do teatru, którego walka z trudnościami i poczciwa wytrwałość zasługują bez wątpienia na uznanie. Wszystko to jednak nie chroni sceny od napaści niesprawiedliwéj surowych korespondentów do „Gazety Toruńskiéj“, ani od obojętności publicznéj.

Zimno tam w tym teatrze bywa, że aż strach, połowa ławek pustych a jednak dyrekcja miałaby prawo do większego współczucia. Przedstawiono kilka większych sztuk wymagających znacznego nakładu a nawet niedawno odegrano z powodzeniem operetkę. Szkoda tylko, że przy niéj dano miejsce słabiuteńkiemu utworowi p. Stanisława Dobrzańskiego. „Podejrzana osoba“ jest farsą prawie grubiańską. Nie winimy jej o brak wszelkiéj treści. Mniejsza, że cały interes sztuki grupuje się około jowialnego lokaja, ale należy uderzyć na środki komiczne, jakich w téj drobnostce użyto. Nieuzasadniona niczém zazdrość, która każe Panu wziąść w ciemności lokaja swojego za uwodziciela, wynikła ztąd gonitwa po scenie, urwana poła od fraka i kłopoty służącego, oto wszystkie efekta. Cała akcja jest w téj gonitwie i ciągłém przebieraniu się pana i lokaja, których garderobie publiczność asystować jest zniewoloną.

W dwóch następujących po sobie scenach lokaj zdejmuje liberję i wkłada frak, który wnet zrzuca; pan zdejmuje tużurek i kładzie futro, a potém frak! Sztuka powinna była nosić tytuł „W kamizelkach“! Rzecz cała kończy się wybuchem śmiechu na widok urwanéj poły.

Dalibóg jest z czego zrobić scenę mimiczną w cyrku, ale nigdy komedję.

Podobne sztuki uwłaczają talentowi wykonywających artystów, zniżając ich do roli clownów, występujących z pejczem na scenę, którą jeszcze mocniéj przypominają skoki przez wywrócone stołki.

Wiemy, że zawsze znajdzie się pewna część publiczności, którą widowisko takie łechtać będzie w pięty, dla czego jednak pokryto je oklaskami, trudno nam zrozumieć.

Dla otrząśnięcia się z niesmaku słów poprzednich miło nam jest przypomnieć sobie prześliczny głos p. Julji Czajkowskiéj, z którym zapoznało nas „Małżeństwo przy latarniach“. Jest w tym głosie czarodziejstwo młodości i natury, którym sztuka i praca piękną przyszłość pozyskać mogą.

Ostatnim objawem działalności dyrekcji teatru jest przedstawiony po raz pierwszy dramat Gutzkowa: „Biała karta“ w przekładzie p. E. Konarskiego. Nie chcąc wkraczać w obowiązki naszego recenzenta teatralnego, wypowiemy tylko w krótkości zdanie nasze o tejże reprezentacji. Otóż Biała karta nie zadowolniła wcale publiczności. Bo też w rzeczy saméj wiejący z całéj sztuki sentymentalizm, ubarwiony tu i owdzie pokostem erudycji i prawdziwie głębokich myśli — więcéjby się nadawał do utworzenia powieści w rodzaju angielskich, aniżeli dramatu. Właściwość ta, zresztą przypadająca dziwnie do charakteru ziemków autora, wprost przeciwne uczucie wzbudzała w naszych widzach i artystach. Ztąd też w grze ostatnich widoczny był przymus i brak przejęcia się rolą z wyjątkiem p. Zboińskiego, którego nie krępowała wcale, zbyt może dosadnie i jaskrawo nakreślona postać Dorosza, jak na radzcę ekonomji (wedle oryginału).

Benefisantka p. Marja Górecka, szczęśliwym instynktem kierowana w naiwnéj i szczebiotliwéj Joasi wyborną rolę dla siebie znalazła. Za to zwrócilibyśmy uwagę Dyrekcyi, że powierzanie p. Krasowskiéj ról sentymentalnych np. Eweliny w Białéj karcie, Klary w Ojczyźnie wypada ze szkodą widzów i użytecznego w innym kierunku talentu panny K.

W ogóle „Biała karta“ dla mięszanéj publiczności zawsze niewłaściwą będzie, więcéj w sobie uczucia subtelnego i abstrakcyjnych myśli, aniżeli akcji, i efektów zawierając.

Nie możemy również powiedzieć, aby przekład E. Konarskiego był szczęśliwym. Z tego, cośmy powiedzieli o sztuce, pozna czytelnik, że p. K. miał niełatwe zadanie. Tłumacz zbyt dosłownie trzymał się oryginału — ztąd nietylko często popełniał błędy przeciwne duchowi języka naszego, lecz nawet niekiedy wpadając w napuszoność, stawał się niezrozumiałym. Pomimo to uznać należy pracę i sumienność p. K., który mając takie zalety, może z pożytkiem przyswajać scenie ojczystéj lepsze utwory niemieckich dramaturgów. Radzimy mu tylko na przyszłość dbać o stósowniejszy wybór.

* * *

W téj chwili, kiedy kończymy te zapiski, listonosz składa przed nami pakę listów. Miłosierne Bogi! same rady i napomnienia! Potop zacnych chęci!

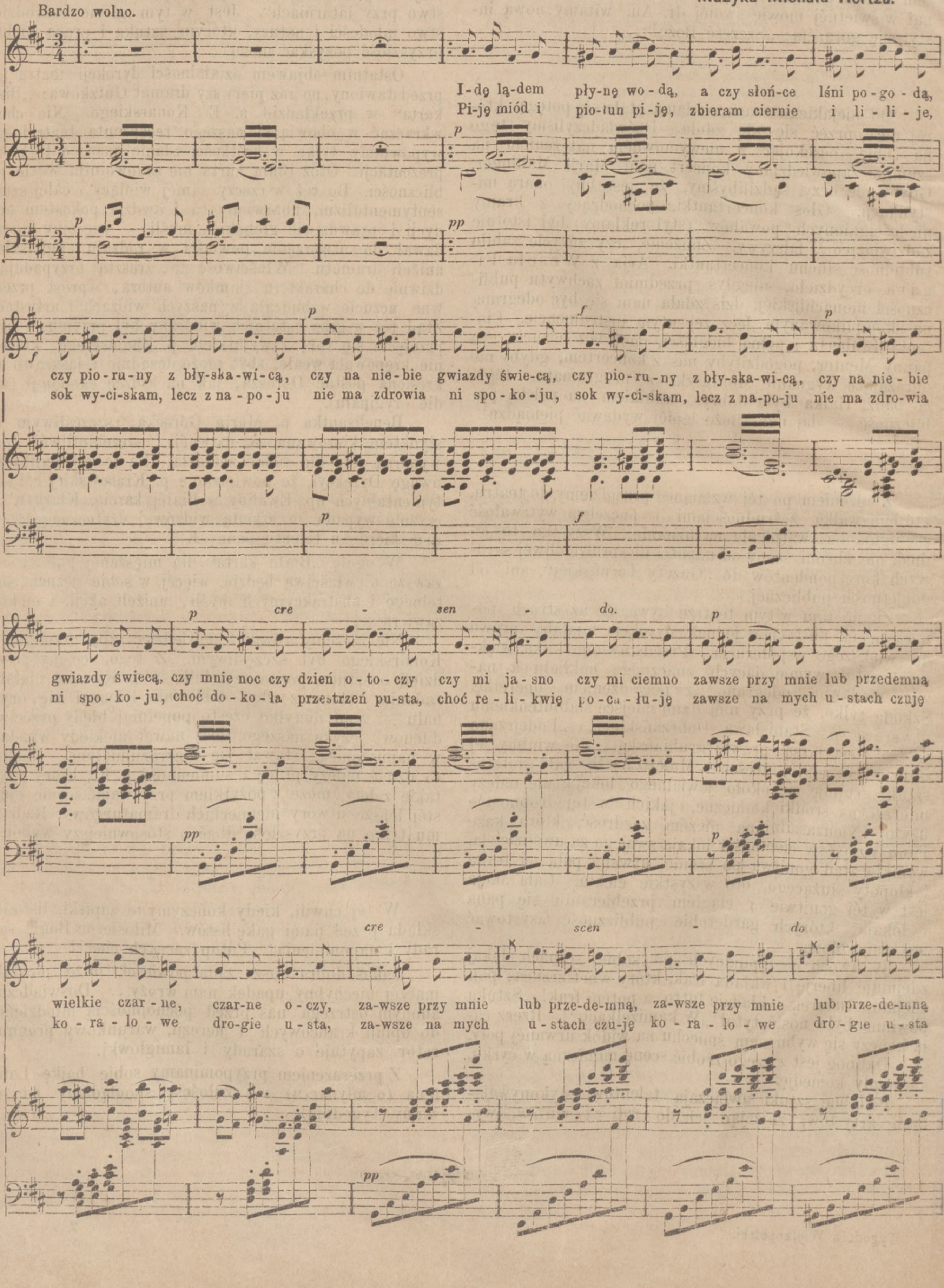
Jakaś dobra dusza żąda powieści, dużo powieści, inaczéj niechybny upadek nam wroży... Doświadczony anonym ostrzega nas przed pochopnością młodzieńczą do opinji krańcowych i herezji, warunkowy prenumerator zapytuje o szarady i łamigłówki.

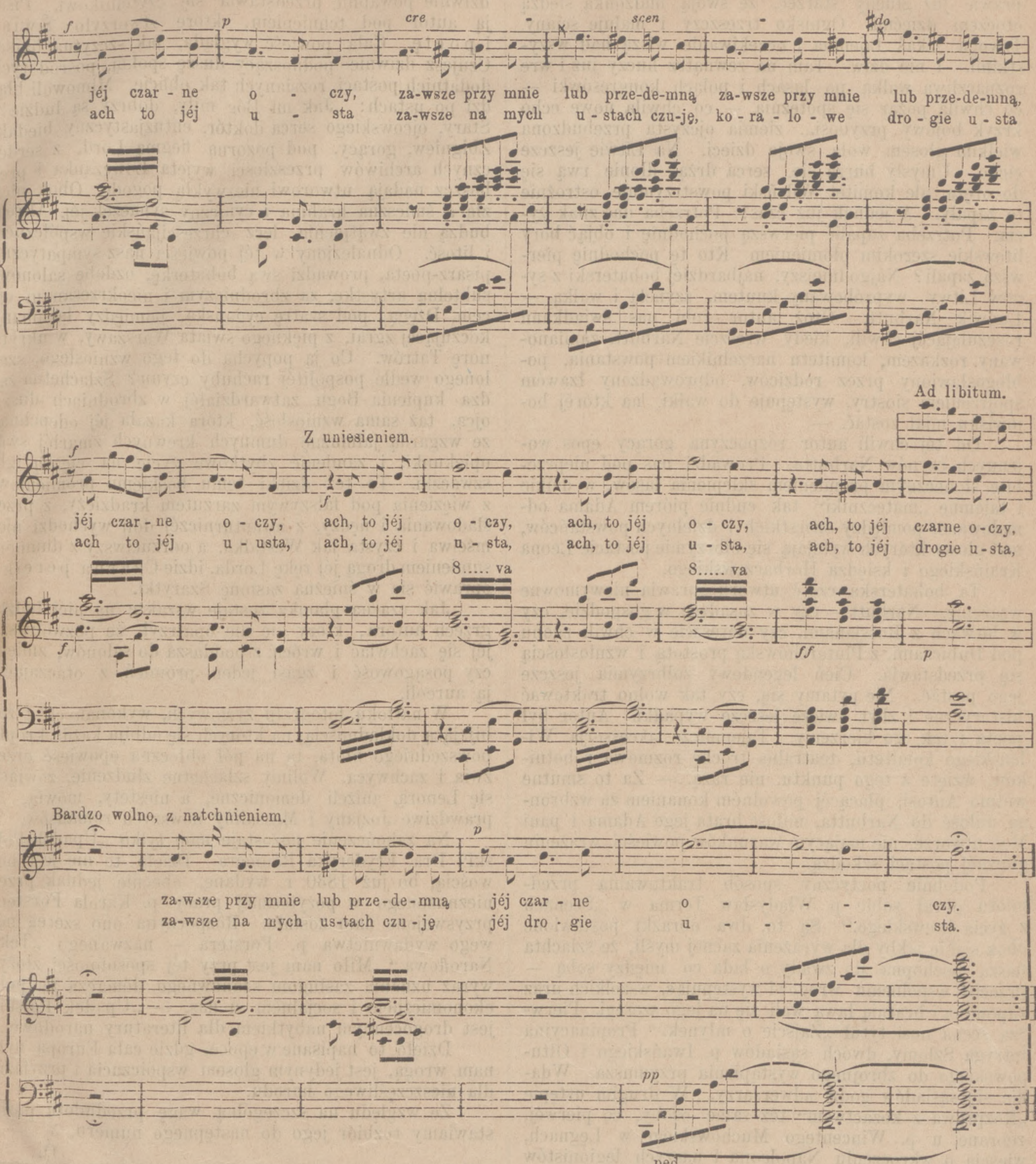
Z przerażeniem przypominamy sobie bajkę Lafontena (o młynarzu) i z czułością spoglądamy na niewinny Tygodnik! W.

ZAKLĘCIE.

Słowa Gabryeli Zmichowskiéj.

Muzyka Michała Hertza.





Przegląd literacki.

Narbutt, podanie o litewskiém z 1863 r. powstaniu przez A. K. J. Lwów, nakładem K. H. Malickiego. 1870. — Czarna Perełka, powieść przez Bolesławitę. Lwów, nakładem F. Richtera. 1871. — Sceny z życia litewskiego przez Władysława Terma. Poznań nakładem J. K. Żupańskiego. — Upadek Polski Dr. Raumera.

Epoki wojenne nie sprzyjają produkcjom literackim. Uwaga ogółu zbyt jest wytężoną w kierunku huczącéj burzy, iżby tworami sztuki zająć się mogła. Co najwięcéj, broszury polityczne, zręczne efemerydy pokup znaleść jeszcze mogą i niemi to zajmuje się spekulacja księgarska. To téż szczupłą tylko wiązankę zebrać mogliśmy do niniejszego przeglądu. Rozpoczynamy go od najdawniéj wyszłego „Narbutta", pracy, w któréj czuć technienie przyjaźni i czci głębokiéj dla tego bohatera ostatniéj walki naszéj. Dzieło nie usprawiedliwia w zupełności swojego tytułu, nie jest ono bowiem podaniem o powstaniu litewskiém, ale raczéj bjografją poetyczną przywódzcy tego powstania narysowaną posągowo i otuloną w legendową tkankę. — Autor rozpoczyna od postawienia przed oczyma czytelników Katonowskiéj postaci Teodora Narbutta, znamienitego dziejopisa, ojca Ludwika.... Na wstępie opowiadania jesteśmy w cichym dworku Narbuttów. Wieje ztamtąd dziwny spokój i powaga. W komnacie sędziwy,

prawie już głuchy starzec, ze swoją małżonką siedzą otoczeni dziećmi. Ognisko trzeszczy i maluje ściany. Trwoga jakaś tajemna i oczekiwanie wiszą nad wszystkimi. I nie dziw. Tam na zewnątrz huczy już i wre rozpaczliwa walka po lasach i polach kongresówki — co chwila pożar się spotężnia — co chwila nowe echo krzyk bojowy przynosi... ziemia ojczysta przebudzona wielkim głosem woła swoje dzieci. Na Litwie jeszcze cicho. Umysły burzą się, serca drżą, dłonie rwą się do oręża, ale komitet Wileński powstrzymuje ostrożnie te zapały. A jednak już czas! Potrzeba dać znak życia. Potrzeba zapalić pierwszą pochodnię i objąć bory litewskie szerokim płomieniem. Kto tę pochodnię pierwszą zapali? Najgodniejszy, najbardziéj bohaterski z synów Litwy wypróbowany knutem, szynelą i walką — Ludwik Narbutt. Otóż autor robi nas świadkami rozczulającéj chwili, kiedy wreszcie Narbutt, zamianowany rozkazem, komitetu naczelnikiem powstania, pobłogosławiony przez rodziców, odprowadzony łzawém spojrzeniem siostry, występuje do walki, na któréj bojowisku miał zostać. —

Od téj chwili autor rozpoczyna gorący epos wojennych czynów Narbutta. Prowadzi nas pod nieprzebite słonecznym promieniem sklepienia lasów, w dzikie i tajemne „mateczniki“ tak cudnie piórem Adama odmalowane, pomiędzy szorstkich i dzielnych powstańców, nad głowy których wybijają się olbrzymie postacie Leona Kraińskiego i księdza Horbaczewskiego.

Ta bohaterska część utworu sprawia niewymowne wrażenie. Narbutt — czy w zasadzce w gospodzie, czy w bitwach z Rossjanami, czy nareszcie w chwili zgonu pod Dubiczami, z Plutarchowską prostotą i wzniosłością się przedstawia. Cień legendowy zolbrzymia jeszcze jego postać. Nie pytamy się, czy tak wolno traktować historyczne i zbyt świeże jeszcze wypadki, Autor był poetą i tak go bierzemy. Tajemnicze akcessorja Wileńskiego komitetu, teatralna trochę rozmowa robotników, wzięte z tego punktu, nie rażą. — Za to smutne widmo Antosi, płacącéj powolném konaniem za wzbronną miłość do Narbutta, miłość brata jego Adama i pani Mon utworze, nie mającym warunków powieści, wrażeniu głównéj postaci szkodzą.

Podobnie poetyczny sposób traktowania przedmiotu obrał sobie p. Władysław Terma w „Scenach z życia litewskiego.“ Są to, dwa obrazki postawione obok siebie jakby dla wyrażenia zacnéj myśli, że szlachta nasza pochopna do zwady o lada co między sobą — przeciw wspólnemu wrogowi występując, wszelkich uraz zapomina i bratnią ławą wali się na jego szeregi. Pierwsza scena nosi tytuł „Zajście o młynek.“ Propinacyjna intryga Szlomy, dwóch sąsiadów p. Iwańskiego i Ołtupowskiego do zbrojnego wystąpienia przymusza. Wdanie się sąsiadów godzi adwersarzy. W drugim ustępie „Rozprawa z kozactwem“ téż same osoby, co pierwéj, zebrane u p. Wincentego Muchowskiego w Lęgnach, wieścią o wkroczeniu Napoleona i naszych legionistów porwane, projekt ruchawki między sobą tworzą, i na urwanego wojnę z rozsypaném kozactwem poczynają. Kozacy prowadzeni przez niepoprawnego Szlomę, chciwi mienia szlachty złożonego w Wydrzance, zbaczają z drogi i przedzierają się przez lasy. Ale tam przez szlachtę, polującą na nich jak na grubego zwierza, otoczeni, płacą haniebną śmiercią w bagnach i oparzeliskach. — Obrazki skreślone dosyć żywo, oprócz zbyt dydaktycznych djalogów, kalkowane są widocznie z wzorów nieśmiertelnego Adama......

Takim brakiem oryginalności nie grzeszy Bolesławita, który z półwiecznéj teki potrafił dobyć nowy utwór pełen młodzieńczéj poezji: „Czarną perełkę.“ Lenora jest rozczulającą fikcją. Nieprawdopodobna ta istota z prądami dzikiéj i swobodnéj krwi cygańskiéj w żyłach, wessawszy w siebie samą piękność cywilizacyi, dziwnie powabnie przedstawia się czytelnikowi. Pisał ją autor pod tchnieniem, które stworzyło Świat i poetę. Cała powieść wygląda, jak szczytna bajka. Czujesz dziwnie podnoszący duszę spokój, pośród tych dodatnich postaci, rozsianych tak obficie. Mimowoli błądzi po ustach: „Jak mi Bóg miły, dobrzy są ludzie!“ Stary, ojcowskiego serca doktór, entuzjastyczny biedak, Zbigniew, gorący, pod pozorną flegmą Lord, z serdecznych archiwów przeszłości wyjęta Łowczanka i proboszcz nadają utworowi niezwykłą pogodę. Obok nich zła a śmieszna hrabina i cyniczny synaczek jéj, Alfred, budzą nie zwątpienie, lecz chrześcijańskie współczucie i litość. Odnaleziony w téj powieści nasz sympatyczny pisarz-poeta, prowadzi swą bohaterkę, ozdobę salonów, subtelną artystkę, za zbrodniczym i nieokrzesanym ojcem, Dzęgą, pod szatrę cygańską, pomiędzy łachmany koczującéj zgrai, z pięknego świata Warszawy, w ukrytą norę Tatrów. Co ją popycha do tego wzniosłego, szalonego wedle pospolitéj rachuby czynu? Szlachetna żądza kupienia Bogu zatwardziałéj w zbrodniach duszy ojca, taż sama wzniosłość, która kazała jéj odepchnąć ze wzgardą jałmużnę dumnych krewnych zmarłéj swéj opiekunki, i zamienić zbytkowe życie na ciężką igłę szwaczki. To téż dzięki temu boskiemu promieniowi z więzienia pod fałszywym zarzutem kradzieży, z prześladowania i nędzy, z awanturniczéj doli wychodzi niemściwa i czysta jak Westalka, a odrzuciwszy z dumném sumieniem drogą jéj rękę Lorda, idzie Czarna perełka oprawić się w śnieżną zasłonę Szarytki.

Jak czarna plamka zostaje wszakże na niéj ludzki grzech autora, który się nie opatrzył, że pozwoliwszy jéj się zachwiać i wrócić z poddasza do salonów, zmiękczy posągowość i zgasi jeden promień z otaczającéj ją aureoli.

W natłoku fotografji życiowych, wykonanych z zabijającą dokładnością, na których się odbija każda kropla powszedniego błota, na pół obłoczna opowieść orzeźwia i zachwyca. Wolimy szlachetne złudzenie, zowiące się Lenorą, aniżeli demoniczne, a niestety, mówią, że prawdziwe Jozjany i Messaliny nowszych romansów.

Na zakończenie pozostaje nam tylko „Upadek Polski“ Dra. Fryderyka Raumera. Dzieło to nie jest nowością, bo już 1830 r. wydane, obecnie jednak przez nieznużonego w pożytecznéj pracy p. Karola Forstera przyswojone nam zostało. Rozpoczyna ono szereg nowego wydawnictwa p. Forstera — nazwanego „Teka Narodowa.“ Miło nam jest przy téj sposobności złożyć wyraz uznania zasługom szanownego tłómacza na polu ekonomicznem i socjalném u nas. — „Upadek Polski“ jest drogocennym nabytkiem dla literatury narodowéj.

Dzieło to napisane w epoce, gdzie cała Europa była nam wrogą, jest jedynym głosem współczucia i przyjaźni dla nieszczęśliwego narodu.

Ze względu na szczególną wagę przedmiotu pozostawiamy rozbiór jego do następnego numeru.

O.

Skrzynka do listów.

Panu Jarosławowi Pecka, w Pradze. Na serdeczne pismo Wasze, ofiarujące nam współpracownictwo... skoro o charakterze pisma się przekonacie, odpowiadamy przesłaniem Wam niniejszego numeru i dla prędszego zaznajomienia Was z pismem wzmiankujemy, że wkrótce rozpoczniemy z prac poważniejszych: „Moje wspomnienia“ pani Pauliny z L. Wilkońskiéj, zawierające w sobie cenny materyał do literatury naszéj ostatnich czasów; daléj studja: „Naród zmartwych-powstały“ i „O przewrocie w naukach przyrodzonych, spowodowanym przez teorje Darwina, Huxleya i Hekela przez Dr. Ł.; Dwu aktową komedję Władysława Ordona: „Niewiniątka“; „Szkic z podróży w Tatry“ Walerego Eljasza, Wiliam Ewart Gladstone, studjum bjograficzne przez p. J.N. „Przyszłość psychologji“, studjum Juljana Ochorowicza, autora „Egoizmu i sumienia“ „Miłość i zbrodnia“ i t. d. oraz pod stałą rubryką słowiańską: „O Ołdze, księżniczce ruskiéj przez ks. Ch. i „O stosunkach Polski porozbiorowéj ze Słowiańszczyzną.“—

Odpowiedzialny redaktor Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.